DOM cz. II

Pani Roma

Romualda Furmanowicz, z domu Ekiert, urodziła się 23 stycznia 1936 roku w Chodorowie niedaleko Lwowa. Tam też, wraz z rodzicami - mamą Marią i ojcem Marianem, oraz czwórką rodzeństwa - siostrą Kazimierą i braćmi Edwardem, Mieczysławem i Lesławem, mieszkała i spędziła pierwsze lata dzieciństwa.

Rodzina należała do klasy robotniczej. Maria Ekiert prowadziła sklep z materiałami. Marian Ekiert był pracownikiem fizycznym w cukrowni w Chodorowie, a także pomagał swojemu ojcu w kuźni. Urodził się we wsi Wołczatycze, oddalonych o kilka kilometrów od Chodorowa. Jego rodzice, a dziadkowie Romualdy, pochodzili z Austrii (pierwotnie ich nazwisko brzmiało Eckert, później zostało spolszczone) i należeli do okolicznej elity; posiadali majątek ziemski, piękny, duży, piętrowy dom oraz kuźnię w Wołczatyczach, w której zatrudniali kowali. Dziadek Romualdy działał w kasie oszczędnościowej Stefczyka. Marii i Marianowi także dobrze się żyło. Mieszkali w drewnianym, parterowym domu, unowocześnionym jak na tamte czasy, z dużym ogrodem i sadem.

Chodorów był miasteczkiem wielokulturowym, zamieszkiwanym przez Polaków, Ukraińców i Żydów. Wszyscy żyli ze sobą w zgodzie. Z czasów dzieciństwa Romualda szczególnie przywoływała w pamięci stosunki, jakie panowały między nimi a żydowskimi sąsiadami: *„Rodziny polskie żyły dobrze z rodzinami żydowskimi. Mama prowadziła sklep z materiałami - po jednej stronie moja mama miała towary, a po drugiej stronie Żydówka. Żyły w zgodzie, pracowały, sprzedawały i nikt z nikim się nie kłócił, jeden drugiemu nie zazdrościł”*. Sąsiedzi wzajemnie sobie pomagali: *„Bardzo dobrze żyliśmy z Żydami. W każdą sobotę na szabat, kiedy nie mogli sami rozpalić w piecu, to zawsze sąsiadka wołała mnie, żeby im zapalić i za to dostawałam macę”*. Sama też często bawiła się z żydowskimi i ukraińskimi dziećmi: *“Lubiłam bawić się z dziećmi, chodzić do sadu i zbierać owoce. Przed domem w naszym w ogródku rosło piękne drzewo - jesion. Mając niecałe sześć lat, wchodziłam na drzewo i zrzucałam dzieciom owoce. Były tam dzieci żydowskie, polskie, ukraińskie - jak to dzieci, wszystkie razem się bawiły, a ja wtedy udawałam, że z jesionu sypią się owoce. To była dla mnie uciecha”*.

Spokojny żywot zakłócił wybuch II wojny światowej, który przypadł na wczesne lata szkolne Romualdy: *„Zaczęłam chodzić do szkoły w Chodorowie, ale potem się bałam. Piękny duży budynek, pół szkoły było ukraińskie, a pół polskie. Budynek zajęły wojska niemieckie na koszary. Klasy małych dzieci uczyły się w przedszkolu niedaleko domu. [...] Był obowiązek szkolny, ale wtedy nikt już o to nie dbał, wolałam chodzić na targ, mama mnie wysłała, bo były łapanki kobiet”*.



Rodzina Ekiertów. Romualda Ekiert stoi druga od prawej

Codzienność zaczął wypełniać strach o przeżycie. W Chodorowie stacjonowali Rosjanie, gdy od zachodu zaczęły napierać wojska niemieckie. Wraz z atakiem Niemców w 1941 roku Sowieci rzucili się do ucieczki. Droga prowadząca do granicy przebiegała tuż obok domu dziadków Ekiertów - to tamtędy wycofywały się rosyjskie kolumny wojskowe. Według relacji Romualdy, z Niemcami bratały się grupy ukraińskich nacjonalistów, czyli tych Ukraińców, którzy chcieli samoistnej, samodzielnej Ukrainy. Niemcy prześladowali Żydów, a bandy UPA napadały na ludność polską. Szczególnie znęcali się na Polakach mieszkających na wsi. Romualda nie była bezpośrednim świadkiem mordów, bo jak twierdziła wszystko to działo się przeważnie nocą, ale za dnia widziała z oddali ogromne łuny, unoszące się nad popalonymi, polskimi wsiami. W miastach banderowcy zachowywali pewną ostrożność ze względu na dużą obecność wojsk niemieckich. Mimo to po wsiach palili domy i wieszali Polaków. Niemcy udawali, że tego nie widzą - dozbrajali ich i wykorzystywali do wyniszczenia polskiej ludności.



Orzeczenie potwierdzające posiadanie majątku przez Mariana Ekierta w Chodorowie

W domu Romualdy mówiło się o tym czego dokonywali ukraińscy nacjonaliści i jak traktowali Polaków: *„Dzieci uszy nadstawiały, jak dorośli rozmawiali. Raz na rynku szłam do szkoły, wprawdzie niewiele chodziłam do tej szkoły, a myśmy na rynku mieszkali. Trzy zwłoki leżały na placu. Ludzie jak to ludzie - gapie, na około patrzą. Jedni mówili, że to Niemcy zabili, a to byli Polacy zamordowani przez banderowców. Dzieci jak to dzieci, ciekawe były”*.



Rynek w Chodorowie. Po prawej budynek, w którym na parterze Maria Ekiert sprzedawała materiały tekstylne

W maju 1944 roku nadszedł czas, kiedy zagrożenie ze strony banderowców zaczęło dotyczyć bezpośrednio samej rodziny Ekiertów. Kuzyn Marii Ekiert, mamy Romualdy, pełnił rolę diaka w cerkwi. Po jednym z nabożeństw udał się do piwnicy pod cerkwią (gdzie bandy UPA organizowały spotkania), w której natknął się na listę stworzoną przez banderowców, gdzie umieszczono nazwiska polskich rodzin do likwidacji. Na tejże liście znajdowali się Ekiertowie. Kuzyn przyszedł do matki Romualdy i powiedział, że muszą uciekać. Kiedy dziadek Ekiert dowiedział się, że rodzina znajduje się na liście, w ciągu dwóch godzin załatwił po znajomości wagon bydlęcy i w nocy uciekli do Rzeszowa. Na pytanie co udało się im zabrać z rodzinnego domu, Romualda nadmieniała: *„Nic, myśmy uciekali tak jak byliśmy. Jedna sukieneczka, jeden płaszczyk i szliśmy, niby do znajomych czy rodziny. Wieczór, szaro było jak z domu wyszliśmy, jeszcze firanki wisiały i światło się świeciło, żeby nikt nie wiedział z sąsiadów, że my uciekamy. [...] załadowaliśmy się późno wieczorem i pociąg ruszył, duży transport Polaków w bydlęcych wagonach. [...] W Jednym bydlęcym wagonie były zwierzęta, ludzie, meble, co kto mógł wziąć. Babcia Ekiertowa wzięła dwie krowy. Myśmy nic nie wzięli”*.

Podróż trwała trzy dni i trzy noce. W trakcie nalotów pociąg przystawał na wygaszonych stacjach kolejowych, gdzie cały skład pozostawał w ciemnościach. Mimo nieliniowej trasy oraz powszechnego zagrożenia ze strony banderowców, transportowi z Chodorowa udało się pomyślnie dotrzeć do Rzeszowa. Znaczną pomocą wykazał się wujek Romualdy - maszynista z Rzeszowa, który dzięki znajomościom pomógł im w osiedleniu. Rodzina trafiła do wsi Biała (obecnie dzielnica Rzeszowa), do skromnej chaty z klepiskiem po deportowanym Ukraińcu. Pobyt na Rzeszowszczyźnie był jednak tylko przystankiem. Na horyzoncie rysował się już zupełnie nowy rozdział życia, tym razem na Ziemiach Odzyskanych, a dokładnie w poniemieckim Raciborzu.

W publicznych komunikatach pojawiły się ogłoszenia dawnego dyrektora cukrowni w Chodorowie, który obejmował zakład w Raciborzu. Wzywał w nich wszystkich swoich przedwojennych pracowników do przyjazdu i podjęcia pracy w nowym zakładzie. Marian Ekiert postanowił skorzystać z tej okazji, jednak początkowo do Raciborza udał się sam. Dzieci były jeszcze małe, a sam Marian miał obawy co do Niemców i tego, co zastanie w Raciborzu, w związku z czym rodzina pozostała w Białej. Romualda relacjonowała, że pobyt na Rzeszowszczyźnie był dla rodziny trudny: *„Tata już zaczął pracować w Raciborzu w cukrowni. Mogliśmy tam wcześniej przyjechać całą rodziną, ale moja mama nie chciała jechać. Myślała, że front się skończy, że to się wszystko uspokoi i że wrócimy do Chodorowa”*.

Po zakończeniu wojny wschodnia granica została zamknięta. Lwów i Chodorów znalazły się w granicach ZSRR, co ostatecznie przekreśliło szanse na powrót w rodzinne strony. Wyjazd na Wschód był możliwy jedynie pod warunkiem deklaracji narodowości ukraińskiej bądź rosyjskiej. Dla Polaków powrót tym bardziej tracił sens - majątki zostały zrabowane, a polska ludność wymordowana lub przesiedlona. *„W 1947 roku przyjechaliśmy do Raciborza, tata już tu pracował, dostał mieszkanie i myśmy przyjechali do taty. [...] Dostaliśmy mieszkanie i już nam się lepiej żyło, bo byliśmy wszyscy razem”* - wspominała Romualda. Dziadkowie Romualdy oraz rodzeństwo Mariana osiedlili się w Baborowie nieda-

Projekt realizowany jest w ramach programu "Bliska kultura" Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Romualda Furmanowicz w Raciborzu



Romualda wraz z grupą wycieczkową



Mąż Romualdy Furmanowicz wraz z wychowankami domu dziecka w Raciborzu

leko Raciborza, gdzie również otworzono cukrownię.

Marian Ekiert otrzymał mieszkanie na parterze przy ulicy Staszica 26, gdzie później dołączyła do niego żona Maria z dziećmi. Ulica Staszica jako jedna z nielicznych, uniknęła losu wielu innych raciborskich ulic - poniemieckie kamienice nie zostały spalone w 1945 roku. Większość zabudowy miasta celowo wypalili Sowieci. Ze względu na bliskie położenie przy cukrowni została zasiedlona przez przesiedleńców, głównie pracowników zakładu, o co postarał się dyrektor cukrowni. Nowi lokatorzy zajmowali mieszkania w takim stanie, w jakim pozostawili je uciekający wcześniej niemieccy mieszkańcy. Marian opowiadał rodzinie, że kiedy po raz pierwszy przyszedł do mieszkania przy ulicy Staszica 26 zastał w pokoju nienaruszony ślad pospiesznego uciekania - na stole wciąż stały nietknięte, spleśniałe już resztki obiadu i powieszone pranie. Dla przeszłych domowników była to ucieczka w jednej chwili, wymuszona nagłym biegiem wydarzeń. Tak jak przesiedleńcy z Chodorowa, żyli w głębokim przekonaniu, że wkrótce wrócą do swoich domów.

Rodzina Romualdy rozpoczęła budowę nowego życia. Na świat przyszła jeszcze trójka dzieci - dwóch braci i jedna siostra. Początki życia w Raciborzu były trudne. Przesiedleni Polacy żyli ze sobą w zgodzie. Społeczność ze Staszica, wywodząca się z kręgu Kresowian, trzymała się razem i wzajemnie sobie pomagała. Sąsiedzi pilnowali swoich dzieci, a także wspierali się w trudniejszych chwilach, gdy ktoś zmagał się z problemami finansowymi. Gorzej układały się ich relacje ze Ślązakami, z którymi stykali się m.in. w sklepach czy szkołach. Choć nie dochodziło do otwartych konfliktów, codzienność upływała pod znakiem słownych utarczek i poczucia wyższości jednej ze stron. Napięcia te wynikały z faktu, że przybyszów postrzegano jako obcych na tutejszych ziemiach, przez co miejscową ludność często traktowano z dystansem i lekceważeniem. Z biegiem czasu nastawienie Ślązaków zaczęło się zmieniać. Gdy cukrownia ruszyła, a miejscowi zobaczyli, że polscy przesiedleńcy są pracowici, rzetelni i chcą żyć w zgodzie, uprzedzenia powoli zanikały. Obie społeczności zaczęły się do siebie zbliżać, a z czasem nawiązywały się coraz bliższe relacje, w tym również małżeństwa mieszane. Obie strony były przejęte stanem miasta, ale potrafili się zjednoczyć i ramię w ramię odbudowywać miasto, ich nowy, wspólny „DOM". W te codzienne prace porządkowe i budowlane, począwszy od odgruzowania po układanie cegieł, angażowały się całe rodziny, w tym także dzieci.

Romualda rozpoczęła naukę w klasie pedagogicznej I Liceum Ogólnokształcącego w Raciborzu, które wówczas funkcjonowało jako szkoła żeńska. W 1955 roku zmarł jej ojciec, osierocając ośmioro dzieci. Matka, zajęta opieką nad domem, nie mogła podjąć stałej pracy. Próbowała utrzymać rodzinę dorabiając jako krawcowa i kucharka oraz podczas kampanii buraczanej w pobliskiej cukrowni. Mimo jej wysiłków Romualda wraz ze starszą siostrą musiały włączyć się w opiekę nad młodszym rodzeństwem i wspomóc domowy budżet, co zmusiło ją do przerwania nauki. Chcąc pomóc rodzinie finansowo, podjęła pracę w szkole na Płoni, gdzie przez rok pracowała jako nauczycielka „od wszystkiego". Równocześnie angażowała się jako wolontariuszka w domu dziecka, który mieścił się w budynku dzisiejszego starostwa powiatowego.



Absolwenci wieczorowego państwowego Liceum Ogólnokształcącego dla Pracujących w Raciborzu. Romualda Furmanowicz (z d. Ekiert) trzecia od dołu z prawej

Córka Romualdy, Małgorzata, relacjonując wspomnienia mamy mówiła, że w tamtym czasie w domu dziecka znajdowało się mnóstwo dzieci. Były to głównie sieroty z Warszawy, których rodzice zginęli podczas wojny, m.in. w Powstaniu Warszawskim. Maluchom ze stolicy było niezwykle trudno zasymilować się ze Ślązakami. Jako młoda dziewczyna, nie mając wówczas własnych dzieci, Romualda starała się je łączyć, pomagać im i matkować. Warszawskie dzieci miały problem ze znalezieniem wspólnego języka z miejscowymi rówieśnikami. Czuły żal, że trafiły na Śląsk do sierocińca zamiast w okolice stolicy, co dodatkowo budziło w nich poczucie zagubienia. Sytuację komplikowała szkoła, w której trafiały do wspólnych klas ze śląskimi dziećmi, co ze względu na barierę językową (śląskie dzieci posługiwały się gwarą) rodziło dodatkowe napięcia. Praca w placówce była trudna, podopieczni nie radzili sobie ze swoimi traumami i emocjami, a do tego dochodziły poważne problemy z nauką. Powoli jednak sytuacja zaczęła się zmieniać: dzieci nabierały ogłady, przyzwyczajały się do nowej rzeczywistości, a Ślązacy zaczęli dostrzegać ich trudną sytuację. Część najmłodszych Warszawiaków, głównie niemowląt, została z czasem adoptowana przez śląskie rodziny.

Pracując w domu dziecka poznała swojego męża – Ryszarda Furmanowicza. On także był nauczycielem (uczył matematyki i fizyki), jak i przesiedleńcem z Białego Kamienia (obecnie miejscowość w Ukrainie), skierowanym wraz z rodzicami, dziadkami i bratem do wioski Kurznie w okolicach Brzegu. Wyszła za mąż, zdała wieczorowo maturę, ukończyła Studium Nauczycielskie w Raciborzu i została nauczycielką wf-u w Szkole Podstawowej nr 1 w Raciborzu. Później wykładała także historię.

Poświęciła się pracy z dziećmi i młodzieżą. Tworzyła drużyny harcerskie, wyjeżdżała na obozy, wędrowne wyprawy. Jak mówi córka Romualdy: *„Dla mamy nie miało znaczenia czy ktoś jest Polakiem, czy Ślązakiem. Wszystkich traktowała z szacunkiem. Mama wspominała, że układało jej się ze Ślązakami bardzo dobrze"*. Miejscowi nazywali ją „panią rechtor", a ona sama była niezwykle ciepłą, cierpliwą osobą, która potrafiła wysłuchać każdego i poświęcić mu czas. Ślązacy chętnie przychodzili do niej na rozmowy i po porady. Czuli jednak żal do przyjezdnych. Złościli się, że ci zajmują ich miejsce i że narzuca się im naukę języka polskiego, zakazując posługiwania się gwarą przez nauczycieli sprowadzonych z zewnątrz. Sama Romualda starała się zrozumieć miejscową ludność. *„Mama miała tutaj poważanie aż do śmierci. Ślązacy darzyli mamę szacunkiem. I za każdym razem, gdy wychodziłam szczególnie na Ostróg (dzielnica Raciborza, w której mama mieszkała i pracowała) oraz na miasto pytali o mamę, co słychać, jak się czuje - rdzenni Ślązacy"*.

Zaaklimatyzowała się w Raciborzu i nie chciała stamtąd wyjeżdżać, mimo że pojawiały się propozycje przeprowadzek, m.in. do Baborowa. Podkreślała, że to miasto stało się jej domem, w którym odnalazła swoje miejsce na ziemi i grono bliskich znajomych. *„Była tu szczęśliwa, to było widać i czuć"* – mówi córka Małgorzata.

Przesiedleńcy przywieźli ze sobą na Śląsk własne dziedzictwo kulturowe - od zwyczajów po kulinaria. Na wigilijnym rodzinnym stole królowała ku-



Romualda Furmanowicz wraz z grupą przyjaciół na obozie harcerskim



Romualda Furmanowicz wraz z wychowankami Szkoły Podstawowej nr 1 w Raciborzu

tia, a nie moczka, przyrządzano kompot i pierogi. Z kolei na Wielkanoc gotowano biały barszcz. Zgodnie z dawnym zwyczajem hucznie świętowano imieniny, pomijając początkowo urodziny. Dopiero po latach, pod wpływem śląskiego otoczenia rodzina zaczęła celebrować także urodziny. Przez długie lata, już w realiach Raciborza, babcia Romualdy kultywowała podwójne wigilie - polską oraz prawosławną (przypadającą 6 stycznia, na Trzech Króli). Mimo że rodzina była wyznania katolickiego, obchodziła także wigilię prawosławną, co wynikało z tradycji wyniesionej z Chodorowa. W codziennym życiu Romualdy raczej unikano kuchni śląskiej, trzymając się kulinarnych korzeni z Kresów. Zresztą wymiana zwyczajów była obustronna. Ślązacy również rzadko przejmowali obyczaje przybyszów. Obie społeczności długo funkcjonowały w swoich zamkniętych sferach, a wyjątek stanowiły rodziny mieszane, gdzie tradycje naturalnie się przenikały.

Na pytanie czy Romualda chciała wrócić w rodzinne strony, Małgorzata odpowiedziała: *„Chciała pojechać zobaczyć, była w latach 90., odwiedziła i Chodorów i Białą. Spotkała koleżankę w Białej, która wybudowała dom w miejscu, gdzie mama mieszkała po ucieczce z Chodorowa. Chatka z klepiskiem w Białej nadal stała”*. Choć mama Romualdy nieustannie tęskniła za dawnymi stronami, ona sama czuła już co innego. W Raciborzu wraz z mężem budowała swój nowy dom. Urodziła dwójkę dzieci - syna Marka i córkę Małgorzatę. Miała kochające wnuki i prawnuki. Układało im się tu dobrze, mieli pracę, mieszkanie, rodzeństwo z rodzinami, dalszą rodzinę, grono znajomych. Odnaleźli tu szczęście. Choć początki, przypadające na koniec lat 40. i początek 50. XX wieku były niezwykle ciężkie, z biegiem czasu sytuacja systematycznie się poprawiała.



Romualda Furmanowicz na obozie harcerskim

Przesiedleni z Kresów nosili w sobie rodzaj traumy. Ani Romualda, ani jej matka nie potrafiły niczego wyrzucić z jedzenia, szanując nawet ostatnie okruchy. Małgorzata powtarza, że matka wpajała jej przekonanie: *„mam coś, dzielę się z innymi”*. Patrząc na mamę, widzi w niej odbicie tamtych przeżyć i tego, jak została ukształtowana. Pieniądze i bogactwo nie miały dla niej znaczenia, liczyły się relacje między ludźmi i ich pielęgnowanie, poświęcony im czas. *„Mama zawsze kierowała się zasadą „ciesz się z tego, co masz, że jesteśmy razem, jesteśmy zdrowi” i nigdy nie narzekała na swój los”.*

Dr Magdalena Wawoczny-Wilczek

Wywiady:
- Romualda Furmanowicz, 10.03.2023, Racibórz.
- Małgorzata Malinowska, 13.09.2026, Racibórz.
- Fotografie ze zbiorów rodzinnych, dzięki uprzejmości Małgorzaty Malinowskiej



Romualda Furmanowicz w towarzystwie znajomej



Romualda Furmanowicz w trakcie wycieczki górskiej

Romualda Furmanowicz zmarła 20 marca 2026 roku w wieku 90 lat. Pani Roma, bo tak ją nazywano, była moją pierwszą wychowawczynią w SP 1 na Ostrogu.

Kiedy w 2025 roku spotkaliśmy się na jubileuszu 80-lecia szkoły, było wzruszenie, ale i zaskoczenie. Pani Roma pamiętała dokładnie, w której ławce siedziałem. Uczyła mnie na początku lat 80. wychowania fizycznego i historii. Zapamiętałem ją jako cierpliwą, wyrozumiałą i sprawiedliwą, ale też zasadniczą nauczycielkę. Czuliśmy się przy niej bezpiecznie.

To były trudne czasy. Stan wojenny, niedostatki i pożegnania. Wielu kolegów i koleżanek ze starego Ostroga i Płoni wyjechało do Niemiec. Przychodzili kolejni, najpierw z osiedla przy Bosackiej, potem z rejonu Książęcej, a na koniec z bloków przy Lotniczej i Siwonia. Ostróg się rozrastał, zmieniała się jego społeczność.



Romualda Furmanowicz

Trzy ósme klasy mojego rocznika przeprowadzały Jedynkę z Tysiąclatki przy ul. Królewskiej do obecnego budynku przy ul. Elżbiety.

W pamięci pozostało wiele obrazów tamtych czasów, w tym właśnie Pani Romy – zawsze w dresie, z gwizdkiem na piersi, punktualnej i życzliwej.

Grzegorz Wawoczny

Sowieckie komendantury wojenne



Dr Janusz Mokrosz

Działalność sowieckich komendantur wojennych w powojennej Polsce regulowały dwa dokumenty: porozumienie PKWN z Państwowym Komitetem Obrony ZSRS z 29 lipca 1944 r. oraz dekret Państwowego Komitetu Obrony ZSRS z 20 lutego 1945 r. Legalizowały one czasowe wyłączenie terenów przyfrontowych spod polskiej jurysdykcji cywilnej i przekazanie ich sowieckim władzom wojskowym. Drugi z dokumentów określał pas przyfrontowy jako obszar rozciągający się od 60 do 100 km za linią frontu. Rozwiązanie to miało zapewnić Armii Czerwonej odpowiednie zaplecze w zakresie zaopatrzenia, transportu, łączności i infrastruktury. Polska administracja mogła przejmować urzędy, zakłady przemysłowe i majątki rolne dopiero po uznaniu przez komendanturę, że dany obszar utracił znaczenie wojskowe.

Na ziemiach uznawanych przez Sowietów za polskie komendantury koncentrowały się przede wszystkim na organizacji i zabezpieczeniu zaplecza frontowego. Na terenach należących przed 1939 r. do III Rzeszy działalność Armii Czerwonej i NKWD wykraczała jednak daleko poza potrzeby militarne i obejmowała również ludność cywilną zamieszkującą wsie i miasta znajdujące się w strefie frontowej. Wynikało to zarówno z indywidualnych motywacji żołnierzy, jak i z dążenia do odwetu za niemieckie zbrodnie popełnione na terenie ZSRS.

Po wkroczeniu Armii Czerwonej na Górny Śląsk w styczniu 1945 r. wrogość wobec Niemców objęła także ludność autochtoniczną, której często niesłusznie przypisywano niemieckie pochodzenie. Odpowiedzialność zbiorowa, przyzwolenie na terror oraz nieznajomość lokalnych realiów narodowościowych sprawiły, że po przejęciu poszczególnych miejscowości przez sowieckie komendantury zagrożeni byli w praktyce wszyscy mieszkańcy. Codziennością stały się zabójstwa, przymusowa praca, grabieże, niszczenie mienia i gwałty, których ofiarami padały kobiety w różnym wieku.

Odczuwany przez mieszkańców Górnego Śląska lęk pogłębiła fala zbrodni, której jednym z najbardziej wymownych symboli stała się masakra w Miechowicach. W dniach 25–27 stycznia 1945 r. Sowieci zamordowali tam 380 mężczyzn. Zagrożenie dla zdrowia i życia wiązało się również z przymusowym wcielaniem kobiet i mężczyzn do sowieckich batalionów pracy.

Grabieże objęły nie tylko majątki prywatne, lecz także liczne zakłady przemysłowe. Zrabowane dobra wywożono w głąb Związku Sowieckiego, często pozbawiając fabryki i huty urządzeń niezbędnych do wznowienia produkcji. W teorii wywózkę regulowało polsko-sowieckie porozumienie z marca 1945 r., zezwalające na wywóz do ZSRS mienia przywiezionego wcześniej przez Niemców na teren przedwojennego województwa śląskiego oraz majątku objętego planem wywo-



Oficerowie Armii Czerwonej i Ludowego Wojska Polskiego przed siedzibą raciborskiej bezpieki przy ul. Ogrodowej, zdjęcie bez daty | koloryzacja zdjęcia z użyciem AI, źródło arch. Henryka Sowika, fot. T. Tkacz

zów z obszaru poniemieckiej rejencji opolskiej. Polska strona zaakceptowała tym samym sowiecką koncepcję uznającą zachodnią część Górnego Śląska za obszar tzw. Starej Rzeszy, objęty programem reparacyjnym, którego głównym elementem był wywóz wartościowego wyposażenia przemysłowego do ZSRS.

W praktyce, między kwietniem a czerwcem 1945 r., w okresie największego nasilenia wywózek, Sowieci nie przestrzegali wcześniejszych ustaleń i przejmowali również infrastrukturę, która nie powinna być objęta demontażem. Grabieże dotknęły także kolei – wywożono wagony, lokomotywy oraz urządzenia służące do zabezpieczenia ruchu pociągów. Nie jest znana dokładna skala rabunku mienia prywatnego. Z domów zabierano cenne wyposażenie, zwierzęta gospodarskie, plony oraz żywność, której zdobycie w warunkach wojennych wymagało od mieszkańców znacznego wysiłku.

Polityka ta była dla władz w Moskwie formą reparacji, które zamierzano wyegzekwować od Niemiec. Zgodę na taki sposób ich pobierania uzyskano od aliantów – wstępnie podczas konferencji w Jałcie, a ostatecznie w ustaleniach poczdamskich. Zwycięskie mocarstwa mogły pobierać reparacje bezpośrednio ze swoich stref okupacyjnych. W praktyce kosztami tych działań obciążono jednak również Polskę, co dla sowieckich komendantur nie stanowiło przeszkody.

Obecność wojsk sowieckich pozostawiła również trwały ślad w przestrzeni miejskiej. Zniszczenia zabudowy były następstwem zarówno działań militarnych, jak i celowych oraz przypadkowych podpaleń. Szczególnie dotkliwie ucierpiał Racibórz. Gdy polska administracja przejęła kontrolę nad miastem, jego centrum było niemal całkowicie pozbawione budynków nadających się do zamieszkania, a skalę zniszczeń w pozostałych dzielnicach oszacowano na około 70%.

Pochodzący z Raciborza Herbert Hupka wspominał: *„Zastanawiałem się, dlaczego dokonano tych wszystkich zniszczeń, podpaleń? Z 4 piętra naszej kwatery wydawało się, że miasto jest codziennie podpalane od nowa. Co dnia wybuchało 5–10 nowych pożarów. Dlaczego dopuszczano się tych wszystkich gwałtów kobiet, w wyniku których wiele z nich zmarło, dużo zaś odebrało sobie życie? Dlaczego plądrowano wszystko co się dało […]? Dlaczego dokonywano tych bezcelowych aresztowań? […] Była to z pewnością chęć wzięcia zemsty na wrogu, ciągle podsycana przez partyjnych ideologów”.*

Podobne zniszczenia dotknęły częściowo Bytom i Gliwice. Nie wszystkie pożary były jednak wynikiem celowego działania. Część z nich wybuchała wskutek nieumiejętnego posługiwania się pochodniami przez żołnierzy plądrujących pozbawione elektryczności budynki.

Przejmowanie kolejnych części Górnego Śląska przez polską administrację nie oznaczało zakończenia sowieckiej obecności w regionie. W 1945 r. Armia Czerwona tworzyła tu bazy wojskowe i obozy szkoleniowe, traktując Górny Śląsk jako zaplecze nieistniejącego już frontu. Do regionu powracały również jednostki liniowe, które nadal dopuszczały się gwałtów i rabunków, także na terenach znajdujących się pod kontrolą polskich władz.

Stopniową likwidację sowieckich komendantur rozpoczęto dopiero w połowie 1945 r. 10 czerwca powołano Północną Grupę Wojsk pod dowództwem Konstantego Rokossowskiego. Zmiany organizacyjne nie oznaczały jednak końca sowieckiego terroru. Latem wzrosła rola kontrwywiadu „Smiersz” i NKWD, podczas gdy oddziały Armii Czerwonej często jedynie zabezpieczały ich działania. NKWD wykorzystywało niewielkie grupy operacyjne, a jego funkcjonariusze współpracowali z polskimi organami bezpieczeństwa. W Urzędach Bezpieczeństwa obecni byli również sowieccy „doradcy”.

Dr Janusz Mokrosz

Nowe granice i zasoby administracyjne

Rząd Tymczasowy RP w Lublinie, wcześniej działający jako Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego (PKWN), przejmując władzę na terenach zajmowanych przez Armię Czerwoną, powierzył tworzenie lokalnej administracji oraz kontakty z lewicowymi organizacjami tzw. grupom operacyjnym. Jedną z nich była grupa operacyjna „Śląsk”, która pod koniec stycznia 1945 roku przybyła do Katowic pod kierownictwem czołowego działacza Polskiej Partii Robotniczej (PPR), Aleksandra Zawadzkiego. Od marca 1945 do października 1948 roku pełnił on funkcję wojewody śląskiego.

W 1945 roku zasadniczo zmieniły się granice Polski. Kresy Wschodnie, wraz z Wilnem i Lwowem, zostały włączone do Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich (ZSRS). Do Polski przyłączono natomiast tzw. Ziemie Zachodnie i Północne: Pomorze Zachodnie, Śląsk, Ziemię Lubuską, Warmię, Mazury i Gdańsk, określane w propagandzie państwowej mianem Ziem Odzyskanych.

Zmiany terytorialne wpłynęły również na kształt powojennego województwa śląskiego, którego powierzchnia znacznie wzrosła. W lutym 1945 roku administracyjnie połączono przedwojenne województwo śląskie z Zagłębiem Dąbrowskim. Do istniejących powiatów katowickiego, tarnogórskiego, lublinieckiego, pszczyńskiego, rybnickiego, bielskiego i cieszyńskiego dołączono powiaty będziński, sosnowiecki i zawierciański, należące przed wojną do województwa kieleckiego.

Kolejną zmianę przyniosła uchwała Rządu Tymczasowego RP z 14 marca 1945 roku, na mocy której utworzono cztery okręgi administracyjne: Śląsk Opolski (Okręg I), Śląsk Dolny (Okręg II), Pomorze Zachodnie (Okręg III) i Prusy Wschodnie (Okręg IV). Obszar poniemieckiej rejencji opolskiej, mimo odrębnego statusu prawno-administracyjnego, znalazł się pod zarządem wojewody Zawadzkiego, który był również pełnomocnikiem Rządu Tymczasowego na okręg opolski. Tym samym dwa formalnie odrębne organizmy – województwo śląskie i okręg Śląsk Opolski – pozostawały pod kierownictwem jednej osoby. Łączył je także Urząd Wojewódzki w Katowicach. Stan ten utrzymał się do 29 maja 1946 roku. Wówczas Rada Ministrów Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (TRJN) zdecydowała o włączeniu do województwa śląskiego powiatów: gliwickiego, głubczyckiego, grodkowskiego, kluczborskiego, kozielskiego, niemodlińskiego, nyskiego, oleskiego, opolskiego, prudnickiego, raciborskiego i strzeleckiego oraz miast na prawach powiatu: Bytomia, Gliwic i Zabrza.

Połączenie trzech historycznie odmiennych obszarów – przedwojennego autonomicznego województwa śląskiego, Zagłębia Dąbrowskiego i Śląska Opolskiego – znacznie zwiększyło powierzchnię województwa. W 1938 roku, po przyłączeniu Zaolzia, wynosiła ona 5021 km², natomiast w drugiej połowie lat czterdziestych już 15 369 km². W praktyce urzędowej stosowano dwie nazwy: historyczną „województwo śląskie” oraz „województwo śląsko-dąbrowskie”, lepiej odpowiadającą jego nowym granicom.

Istotną zmianą było także zniesienie autonomii województwa śląskiego. 6 maja 1945 roku Krajowa Rada Narodowa (KRN) uchwaliła ustawę konstytucyjną o zniesieniu Statutu Organicznego Województwa Śląskiego, kończąc tym samym okres autonomii istniejącej w latach 1922–1939.

Budowie administracji w trudnych realiach powojennych towarzyszyły problemy kadrowe, dodatkowo komplikowane przez specyfikę narodowościową regionu. Komuniści dysponowali niewielką liczbą osób posiadających odpowiednie kwalifikacje i jednocześnie cieszących się ich zaufaniem. Kompetentnych działaczy kierowano przede wszystkim do najważniejszych zadań państwowych, a nie na niższe stanowiska administracyjne.

W powojennym województwie śląskim niedobory kadrowe próbowano zatem uzupełniać poprzez zatrudnianie części przedwojennych urzędników, mimo ich odmiennej orientacji politycznej. Towarzyszyła temu jednak zasada przydzielania doświadczonym pracownikom przedwojennej administracji „do pomocy” działaczy komunistycznych, z których wielu pochodziło z Zagłębia Dąbrowskiego. W pierwszych miesiącach 1945 roku działacze PPR zaczęli tym samym wchodzić w skład personelu powstających starostw powiatowych. Kolejne miesiące potwierdziły konieczność zachowania części przedwojennego personelu, ponieważ coraz wyraźniej ujawniał się braki kompetencyjne działaczy PPR, awansowanych na stanowiska w urzędach na obszarze całego regionu.

W terenie władze wykonawczą sprawowały starostwa powiatowe, kierowane przez starostów. Starosta był kierownikiem administracji ogólnej na podległym obszarze i zajmował się sprawami niezastrzeżonymi dla władz naczelnych, wojewody, innych organów centralnych ani związków samorządowych. Wykonywał również zadania zlecone przez rząd. Organy administracji i samorządu powiatowego sprawowały funkcje nadrzędne wobec władz miejskich i gminnych.

Pierwszym starostą raciborskim został związany z PPR Ludwik Koperczak, a pierwszym prezydentem Raciborza – bezpartyjny Paweł Lelonek. Funkcję wicestarostów objęli Stanisław Marchewka i Antoni Klima, a wiceprezydentów – Edward Stępień i Stanisław Hübner. Przejęli oni zarząd nad powiatem i miastem 18 maja 1945 roku. Powiatową Radę Narodową w Raciborzu, pełniącą funkcję organu uchwałodawczego, powołano w maju 1946 roku. Liczyła 43 radnych: 16 z PPR, 15 z PPS, 7 z SL, 1 z PSL, 2 z SD i 2 bezpartyjnych. Jej przewodniczącym został Jan Bauerk z SL. W tym samym czasie rozpoczęła działalność Miejska Rada Narodowa w Raciborzu pod przewodnictwem Pawła Świtały z PPR. Początkowo liczyła 38 radnych: 12 z PPR, 12 z PPS, po 2 z SL i SD oraz 10 bezpartyjnych.

Dr Janusz Mokrosz





Nowa powojenna rzeczywistość i nowe władze miasta, przed którymi stanęło zadanie odbudowy Raciborza | koloryzacja zdjęcia z użyciem AI, źródło arch. Henryka Sowika

Projekt realizowany jest w ramach programu "Bliska kultura" Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego